Nr. 9. We Lwowie dnia 2. lutego 1896. Rok 4.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

O ruskiem stronnictwie radykalnem.

(Ks. Jan Badeni: »Radykali ruscy«. Kraków 1896).



W monachijskich *Fliegende Blätter* w szeregu tzw. kwiatków z dziedzińca koszarowego znajdujemy następującą apostrofę kaprala, zwróconą do rekruta: »Ty niezdaro, pysznisz się tak, jak Ameryka, gdy ją Kolumb odkrył!« W podobnem położeniu mogłoby się czuć ruskie stronnictwo radykalne, gdy je ks. Badeni odkrył dla społeczeństwa polskiego. Dziwne to społeczeństwo, któremu trzeba odkrywać rzeczy, dziejące się u niego przed oczyma od lat dwudziestu! Wrażenie, jakie sprawiła broszura ks. Badeniego, zwłaszcza w polskiej publicystyce konserwatywno-klerykalnej, to wielkie *testimonium paupertatis* dla tej publicystyki, która przyjęła rewelacje ks. Badeniego, jako coś bardzo nowego i ani słówkiem nie spróbowała krytykować jego pracy, nie zadała sobie pytania, czy rzeczywiście autor zna ten ruski ruch radykalny tak dokładnie, jak apodyktycznie o nim mówi, czy oświetla go objektywnie, czy mówi, czy chce mówić prawdę?

Stawiając te kwestje, nie chcę bynajmniej podawać w wątpliwość szczerości ks. Badeniego. Sam on (str. 6. nota) przyznaje, że »wszelkiemi siłami pragnie zwalczać dążności radykalne«; a skoro raz istnieje takie pragnienie, to już autor nie ma takiego prawa mówić o »spokojnem, wszechstronnem rozprawieniu się z zagadnieniami, odnoszącemi się do ruskiego ruchu radykalnego«, jak to mowi ks. Badeni (str. 5)). Pragnienie zwalczenia radykałów, o ile można ich własną bronią, przebija się na każdej stronicy broszury. Z lubością cytuje on najjaskrawsze frazesy, wyrzeczone nieraz w zapale walki lub dysputy, liczy na karb radykałów bluźniercze gadania chłopów, zdarzające się od setek lat i dziś nawet w takich wsiach, gdzie o radykalizmie niema ani słuchu; z lubością powtarza niedorzeczne plotki o radykałach, choć nieraz i sam dodaje, że to zakrawa na plotkę. Natomiast charakteryzując pracę radykałów pośród ludu, ks. Badeni starannie pominął to, co oni działają dla rozbudzenia poczucia obywatelskiego i chęci ku oświacie wśród ludu, pominął to, co radykałów w oczach ludu czyni bojownikami za sprawiedliwość i wrogami ciemnoty i wyzysku na każdem polu.

Być może, że ks. Badeni zbyt krótko zajmował się radykalizmem ruskim i nie miał czasu zajrzeć do chałup włościańskich, do czytelni i spółek, by się przypatrzeć radykalnej robocie w praktyce; cała jego charakterystyka jest więcej książkową, opiera się na drukowanych programach, odezwach i artykułach dziennikarskich. Lecz i tutaj przyznać trzeba, że ks. Badeni za mało zadał sobie pracy, by się poznajomić z obszerną literaturą tego ruchu. Dawniejsze wydawnictwa radykalne, a zwłaszcza wydawnictwa Dragomanowa, znane mu są tylko z tytułu i to nie wszystkie (przytacza tylko »Hromadę«); o streszczeniu poglądów Dragomanowa niema ani mowy, chociaż ks. Badeniemu mogły być łatwo dostępne bodaj te prace polityczne i popularne Dragomanowa, które były drukowane w ostatnich latach we Lwowie i Kołomyji (»Wspomnienia«, »Cudackie myśli«, »Listy na Ukrainę naddnieprską«, »Zazdrośni bogowie«, »Raj i postęp« itp.). O tem wszystkiem, co stanowi teoretyczną podstawę i historyczny punkt wyjścia radykalizmu ruskiego, u ks. Badeniego niema ani słowa; Dragomanow u niego jest jakimś marzycielem, teoretykiem, prorokiem i papieżem, w rodzaju Ławrowa — pogląd najfałszywszy w świecie i świadczący o zupełnem nieobznajomieniu autora z przedmiotem.

Że intencja zwalczania radykałów kierowała nieraz piórem ks. Badeniego i przeszkadzała intencji przedmiotowego przedstawienia rzeczy, na to jeszcze dwa dowody. Mej skromnej

osobie poświęcił ks. Badeni sporo miejsca w swej broszurze, zaliczywszy mię łaskawie do »młodych« radykałów, mimo że należę obok Pawlika do najstarszych oraczy i siewaczy tego ruchu w Galicji. Ks. Badeni był u mnie osobiście i wypytywał mię o moje poglądy polityczne. Odpowiadałem mu szczerze, nie musiały go jednak zadowolnić moje odpowiedzi, gdyż pominął je zupełnem milczeniem, ale dla charakterystyki moich poglądów politycznych użył moich wierszy, pisanych w ciągu lat 20, wyrażających najrozmaitsze uczucia i nastroje chwilowe. Nie wiem, który sumienny publicysta mógłby sobie postąpić w sposób podobny.

Drugim analogicznym przykładem jest zaliczenie pani Kobryńskiej do rzędu agitatorek radykalnych. Nie ujmując wcale zasług pani Kobryńskiej muszę jednak oświadczyć, że agitatorką radykalną nie jest ona wcale, a jej poglądy emancypacyjno-reformatorskie bardzo mało mają wspólnego z ruchem radykalnym. Pani Kobryńska zresztą nie próbowała nigdy wstępować między prosty lud; agitacja jej ma na celu głównie kobietę średniej warstwy, a myśl o ochronkach wiejskich, skopjowana z Czech, pozostała w sferze myśli abstrakcyjnych i w tej formie, jak ją przedstawia pani Kobryńska, w naszych stosunkach jest wprost niewykonalną. Nie mogę uważać ks. Badeniego za człowieka tak niedomyślnego i naiwnego, by nie poznał, że pani Kobryńska chce zupełnie czego innego, niż ruskie stronnictwo radykalne, pozostaje mi tylko jedno przypuszczenie, że umieściwszy ją i jej zwierzenia w centrum swego opisu miał zamiar w ten sposób wykazać niedorzeczność i fantastyczność podstaw i rozumowań tego ruchu. Dla chwilowego efektu to może wystarczyć, ale przedmiotowego wyobrażenia o rzeczy samej czytelnikowi nie da.

Obok tych nieścisłości i przekręceń moglibyśmy zarzucić ks. Badeniemu sporo luk w jego przedstawieniu rzeczy, np. przemilczenie o działalności obojga Pawlików, zwłaszcza Anny Pawlikównej, Harasimowicza, dra Okuniewskiego itd. Wogóle ks. Badeni widocznie niema wyobrażenia o rozwoju poglądów radykalnych pośród inteligencji ruskiej i dla tego cały ten ruch w jego przedstawieniu wygląda jak coś spadłego z nieba. Nędza ekonomiczna ludu — to tylko grunt, na którym on wyrósł; nasiona jego — to materja bardzo skomplikowana i do analizy jej ks. Badeni nawet nie próbował się zabrać.

Stąd wynika jedno, ale ważne zło: bezradność tych, którzy chcą przeciwdziałać temu ruchowi. »Zło« — oczywiście w ich rozumieniu. Sam ks Badeni, mimo iż głosi, że jest przeciwnikiem radykalizmu i pragnie go zwalczyć, w arsenale swym nie znajduje żadnej broni skutecznej, prócz starych i zużytych już: kazalnicy, konfesjonału, żandarma — lub cudu, apostolstwa i męczeństwa takiego, jakie czasem jest u radykałów. A dla czego u radykałów są te przymioty, a u ich przeciwników nie masz ich? Tego pytania ks. Badeni sobie nie zadaje, chociaż odpowiedź na nie szczera, logiczna i śmiała mogłaby być pożyteczniejszą niż całe fejletonowe charakteryzowanie ruchu radykalnego.

Stronnictwo radykalne może być wdzięcznem ks. Badeniemu za to, że je odkrył dla pp. konserwatystów, lecz konserwatyści, a tem bardziej ogół społeczeństwa polskiego powinniby wymagać pracy gruntowniejszej.

Dr. Iwan Franko



O niewolnictwie starożytnem.

Szkic socjologiczny.

(Dokończenie).

Od II. w. po Chr. podaż pracy niewolniczej poczęło wyrównywać się z popytem na nią, a równocześnie zróżniczkowały się ogromnie zajęcia zawodowe, do których niewolników używano. Obok niewolników, zajętych na roli, w przemyśle i handlu, widzimy wówczas także wielki zastęp t. zw. niewolników zbytkowych, używanych do takich posług, jak gotowanie, pranie, usługa przy stole, pilnowanie osoby pana, szpiegowanie na jego korzyść, ba, nawet czesanie pań, oczyszczanie paznogci, wietrzenie pomieszkań i t. d., aż do najbardziej drobnostkowych zajęć. W tem zróżniczkowaniu się pracy niewolniczej leży pierwszorzędnej wagi moment rozwojowy starożytnej kultury i cywilizacji, a wyjaśnienie go uważam za zbyteczne, wobec tego, że dzisiaj rzadko znaleźć człowieka, któryby mniej lub więcej nie pojmował społeczno-ekonomicznego i kulturno-cywilizacyjnego znaczenia podziału pracy i zastosowania jej do najróżnorodniejszych gałęzi ekonomiczno-społecznych potrzeb danego społeczeństwa.

Niewolnicy wyswobodzeni z niewoli, t. zw. klienci lub wyzwoleńcy, nie posiadali pełni praw obywatelskich i byli ponadto przez obywateli rzymskich srodze pogardzani. Było ich coraz więcej, bo pan miał nawet pewien zysk z klienta, większy względnie, niżeli z nadliczbowego niewolnika. Klient utrzymywał się sam, a służył prawie jak niewolnik; mógł ponadto dójść do znacznego majątku, a wówczas stawał się nadwornym wierzycielem byłego swego właściciela. Ponieważ uwalniano zwykle tylko najsprytniejszych niewolników, otóż cała warstwa klientów należy w starożytności do ludzi przewrotnych, ale właśnie przez to wpływowych. Oni to stanowią z reguły straszną tajną policję cezarów; dla nich niema żadnej ani prywatnej ani publicznej

tajemnicy, którejby nie wyzyskali, a celem ich ciągłe powiększanie majątków, które należały do najznaczniejszych w świecie rzymskim, jakkolwiek ziemia pozostawała przeważnie w rękach familji obywatelskich. Oprócz sprytu, trudno znaleźć jakąś inną jeszcze, choćby równie dwuznaczną zaletę wyzwoleńców; stanowią oni ciemną plamę na jasnem tle starożytnego niewolnictwa, mają jednak niemałe znaczenie dla dalszego rozwoju niewolnictwa, bo oni to nawspół z obywatelskim proletarjatem zaczęli pierwsi walczyć o równouprawnienie zupełne i przystępując skutkiem tego masowo do wyznaniowo-społecznej opozycji chrześcijańskiej, pociągnęli ze sobą także właściwych niewolników.

Ci ostatni podnosili tylko lokalne, niezorganizowane rokosze, które ten skutek wywarły, że prawo rzymskie unormowało stosunki niewolnicze nader srogo. Według prawa tego, był niewolnik bezwzględną negacją osobowości prawnej. Niewolnik nie jest osobą, lecz rzeczą, a jako taka nie może być przedmiotem praw, lecz tylko własnością swego pana. Konsekwencją tego było, że niewolnik był poddany dowolnemu rozporządzeniu właściciela; ten mógł go nawet zabić, a na jednym niewolniku mogło być kilku współwłaścicieli. Niewolnik nie posiadał zdolności prawnej, nie mógł zawierać legalnych małżeństw, a na concubinat potrzebował pozwolenia pana. Nie mógł mieć uznanych prawnie krewnych, a dzieci jego były własnością pana. Nie mógł nabywać majątku dla siebie, a jeśli co posiadał, to było to także własnością pana. Człowieczeństwo niewolnika było w prawie rzymskiem tylko o tyle uznawane, że pan mógł wydzielić część swego majątku i oddać ją pod zarząd niewolnika i że mógł go z niewoli uwolnić.

V.

Znając teraz, w głównym przynajmniej zarysie, przyczyny wytworzenia się niewolnictwa, jego rozwój i stan społeczno-prawny w świecie starożytnym, możemy pokusić się o rozstrzygnięcie kwestji, jakie ma ono znaczenie dla ogólnego postępu społecznego ludzkości.

Powstaje wówczas, kiedy komunistyczna grupa plemienna nie może już opanować potrzebnych jej środków życiowych i szuka nowych, obcych sił roboczych. Przyczyna tedy wspólna powstania niewolnictwa jest natury ekonomicznej, a skutki mają naturalnie taki sam charakter. Polegają one, jak wiemy już, na nagromadzeniu dostatecznej ilości sił roboczych, zapomocą zamiany jeńców na niewolników, masowych zaborów, ciągłej obrony granic — i handlu ludźmi.

Ale w miarę jak społeczeństwo znajduje skutkiem pracy niewolniczej coraz szersze zaspokojenie swych wymogów odżywczych, wzrasta i różniczkuje się z czasem ogólna suma jego potrzeb. Ciężar pracy fizycznej spada na barki niewolnicze, a panowie ich oddają się z coraz większą swobodą chęci używania. Chęć taka, wymagająca częstych nowości, staje się dla posiadaczy niewolników silną pobudką do wyna-

---

TAKŻE EWANGIELISTKA.

Sylwetka petersburska.

Nasz profesor literatury był z pewnością bardzo zacnym człowiekiem; a był on tak malutki i tak okrągły, że adoratorki jego, przypisujące mu w braku wpływu naukowego »ogrromny« wpływ moralny, nazywały go »samem sercem«. Rzeczywiście, było to chyba najlepsze z serc, bijących pomiędzy dwoma garbami. Pozwalało mu ono wierzyć, że bracia słowianie, pozostawieni samym sobie, chwyciliby natychmiast dawno zarzucone gęśle i śpiewając rytmy bojanowe, wędrowaliby po swych szczerych polach, goszcząc się i miłując się wzajemnie, aż zwiastowaliby wreszcie światu »nowe słowo« swej rasy, rozpoczynające erę prawdy i dobra dla całej ludzkości.

Tak idealny nastrój wykładów musiał naturalnie unosić i słuchaczy w jakieś empireje, a więc i moje oczy pięły się zwykle w górę, błądząc wśród bogatych stiuków olbrzymiego plafonu, wśród misternych łodyg floresowych, wśród białych zwojów panoszących się wiecznie akantusów. Zdecydowawszy się raz nie słuchać profesorskiej idylli, żeby się nie kompromitować koniecznem poziewaniem, miałam dosyć czasu na mierzenie wzrokiem obszernej przestrzeni i jej różnorodnych zawartości. Zmęczywszy źrenice na suficie, spuszczałam je na twarze realnych słowianek i niesłowianek zresztą, zajmujących kilkusetnym zastępem żółte szeregi ławek.

Jakież to były twarze?

Strach pomyśleć, doprawdy! Bo nie będę przecież ukrywała, że była to jedna z tych szkół nieszczęśliwych, których pokoje zowią się audytorjami i laboratorjami, nauczyciele — profesorami uniwersytetu, a uczenice — stu-dent-ka-mi! Toteż wśród murów tych padają nieraz słowa: Tlen i azot! akcja i reakcja! Szekspir i Dante! rewolucja i restauracja! a nawet — siła i materja! I setki uszu kobiecych temu się przysłuchuje.

O właścicielki uszu, dużych i małych, białych i różowych, a jednako narażonych na słuchanie tych horendów, jak wy wyglądacie?

Chcę być bezstronną, lecz, niestety, zaczynam się domyślać, że duch-patron koleżeństwa uzbroił moje oczy w zwodnicze okulary; bo widzę najwyraźniej między wami pulchne policzki, różowe usta, zgrabne, figlarne noski, wcale

lazków kulturnych i wogóle pracy umysłowej. Niewolnik od nadzoru trzód i pracy na roli przechodzi w miarę wzrostu wynalazków techniczno-kulturnych także do pracy nad budową kanałów, śluz, wodociągów, a wreszcie wspaniałych gmachów i miast całych.

Czem więcej różniczkuje się praca niewolnicza, tem staje się intensywniejszą i korzystniejszą dla celów kulturno-cywilizacyjnych. Różniczkowanie to, identyczne z ekonomicznem prawem podziału pracy, dochodzi w starożytności do punktu kulminacyjnego w I. i II. w. po Chr. W tymsamym czasie dochodzi świat starożytny także do najwyższego stopnia swej kulturnej wynalazczości, a ta wzrastała i różniczkowała się przedtem w prostym stosunku do wzrostu i różniczkowania się pracy niewolniczej. Bez tej ostatniej nie można sobie łatwo wyobrazić rozwoju kultury i cywilizacji ludzkiej, a gdybyśmy nawet w teorji coś takiego przypuścili, to fakta nie uprawniają nas do przyjęcia takiej hipotezy. Nie znamy ani jednego cywilizowanego społeczeństwa w starożytności i później, któreby wzrosło bez niewolnictwa. Tam, gdzie warunki przyrodnicze pozwoliły na bardzo wielkie wzmożenie się i zróżniczkowanie pracy niewolniczej i wynalazczej, tj. w krajach, okalających morze śródziemne, powstała ta cywilizacja, która jest początkiem i podstawą wzrostu cywilizacji dzisiejszej, zwanej popularnie: europejską.

Socjolog nie może, jak mówiliśmy — i jak teraz widzimy, nie potrzebuje — stać z załamanemi rękami wobec ogólnego faktu istnienia starożytnego niewolnictwa. Jest ono niczem innem ze stanowiska socjologicznego, jak tylko koniecznym dla społecznego postępu etapem podziału, dalszego różniczkowania się i wzrostu ilościowego pracy ludzkiej. Inna rzecz, że czytając drakońskie prawa starożytne, odnoszące się do niewolników, pytamy się mimowolnie sami siebie, czy były one w takiej formie niezbędne? czy, jeśli już niewolnictwo było koniecznym etapem rozwojowym ludzkości, nie mogło ono być normowane zgodniej z poczuciem etycznem człowieka. Tutaj znów występuje różnica między etyką a socjologją, która nie może się wcale dziwić starożytności ani wymagać od niej wyższej etyki od tej, którą kierowali się np. plantatorowie amerykańscy wobec murzynów, lub też którą do dziśdnia kieruje się — z pewnemi modyfikacjami — świat kapitalistyczny wobec swych wolnych najmitów. Juścić, że etyka ma także swoje prawa, to też starożytność zdobyła się na etyczną ideę niewolnictwa i innych warstw upośledzonych. Ideą tą było ówczesne chrześcijaństwo, które w miarę swego rozwoju organizowało w jeden kościół masy niewolnicze, wyzwoleńców i wolnych proletarjuszy i oparte na tych żywiołach społecznych stało się w IV. w. po Chr. religją, a temsamem i etyką panującą w Rzymie

Czy moralne postulaty nowej wiary weszły w życie? Tak! Bo nie trzeba w nich szukać tego, czego nigdy nie posiadały, tj. jakiegoś programu ekonomiczno-społecznego. Renan ma w tym

---

ładne oczka kolorów rozmaitych — a tymczasem któż nie wie w nasze czasy, że koście waszych twarzy obciąga pargamin starych rękopisów, że spłowiałość waszych oczu ukrywacie pilnie pod okularami, że blade wasze wargi są tak zaciśnięte, jak u siedmdziesiątletniego profesora, »obcinającego« was na egzaminach. Ale cóż ja poradzę z podstępem moich okularów? Będę już je chyba nosiła aż do końca życia, jak nosił swoje ów pożałowania godny duńczyk Kirkegaard, chociaż jedno z jego szkiełek ukazywało mu świat i ludzi w imponujących rozmiarach, a drugie sprowadzało wszystko do stopnia nędzy wyjątkowej.

— A, jest: twarz blada, ale z dwiema ceglastemi plamami pod oczami, oczy naprawdę bardzo wypłowiałe, lecz okularów niema, choć być powinny, wargi szerokie i nie nadto blade, lata nieokreślone, a twarz, właściwie mówiąc, także nieokreślona.

Tak sobie mówię, obserwując w duchu osobę, siedzącą na jednej z ławek środkowych i nagle przypominam sobie, że to jej właśnie spojrzenie ołowiane czuję na sobie od dni kilku. Co prawda, nie sprawia mi to wcale przyjemności, mam zbyt dobry gust, aby nie wiedzieć, że rezultaty tak upartej obserwacji nie mogą wypaść dla mnie nader pocieszająco. Ot, patrzy i teraz, lecz co jej właściwie do tego, że mój nos jest tak nieklasyczny, że włosy nigdy nie chcą ułożyć się przyzwoicie i że nie mogę się zmusić do słuchania profesora X? A może to właśnie jego zwolenniczka i chce się tylko przekonać, o ile mię roztkliwia »bohater ludu« *Ilja Muromiec*, a odwrotnie oburza groźny przeciwnik jego, *Złoj cariszcze Kaliniszcze.*

Zaczynam jednak słuchać mimowoli i przekonywam się od razu, że się dzieje coś nowego, niezwykłe jakieś akcenty lecą ku nam z wysokiej katedry, znikł gdzieś bez śladu ów nieznośny patos, nadający pozór nieszczerości najszczerszym uczuciom profesora, natomiast głos jego wzbiera niewstrzymanem oburzeniem, drży gniewem, czarne oczy płoną jak żużle wśród pobladłej twarzy, nerwowa ręka zaciska się kurczowo. Mały człowieczek wyrasta tu w oczach, jak sam Ilja Muromiec, bo, jak słyszę, porwał się i on też na olbrzyma, i to na olbrzyma swej ojczystej historji, na »racjonalistę i »utylitarystę«, na Piotra Wielkiego.

A pozywał go przed sąd nie za żadne przedawnione winy, lecz za »zło aktualne, dojmujące i dzisiejsze społeczeństwo«, a mianowicie za »uśmiercenie kościoła rosyjskiego, wskutek pod-

względzie słuszność, jeśli podnosi, że kościół chrześcijański ideały szczęścia ludzkiego umieszczał zawsze w niebie, że »królestwo jego nie było z tego świata«. Naturalnie! że dogmat równości wszystkich ludzi wobec Boga, nie mógł pozostać bez wpływu na stosunki realne tego świata. Tertullian głosił, że wszyscy chrześcijanie są dla siebie braćmi, których nawet granice imperium rzymskiego nic nie obchodzą; w ten sposób dowiadywał się także chrześcijański niewolnik, że jest bratem swego wolnego współwyznawcy, a wyższym ponad wielu obywateli pogańskich. Wyznaniowa forma całej tej idei etycznej warstw upośledzonych starożytności wpływała bardzo różnorodnie na późniejsze okresy historyczne; za cesarstwa rzymskiego, które wszelką inną, niereligijną opozycję tępiło z gruntu, była ona jedynie możliwą. Ba! nawet i w tej tolerowanej wówczas formie nie uniknęła srogich prześladowań. Obok chrześcijaństwa, sam rozwój stosunków społecznych parł świat starożytny do zmodyfikowania niewolnictwa. Oto podaż pracy niewolniczej przewyższyła wreszcie popyt na nią, a panowie nie chcieli żywić więcej niewolników, niźli im ich potrzeba było. Handel ludźmi przestał się opłacać. Oprócz tego okazało się, że praca wolnych barbarzyńców, zwanych *inquillini* lub *laeti* jest intensywniejszą, rentowniejszą dla kapitalistów i co więcej, nie zobowiązującą wcale do żywienia robotników własnym kosztem.

Z inquillinów tych wytworzył się pierwszy chłop pańszczyźniany w zaraniu wieków średnich a Germanie, którzy instytucję tę samorzutnie u siebie wytworzyli, akceptowali ją bez oporu w zdobytych terytorjach upadającego cesarstwa Zachodniego. W ten sposób chrześcijaństwo, jako idea, a rozwój pracy pańszczyźnianej, jako żywiołowy ruch społeczny, zadały wspólnie cios niewolnictwu, w miarę zaś jego definitywnego podupadania rozwijał się na barkach średniowiecznego poddaństwa chłopskiego — nowy, feudalny ustrój społeczny.

Dr. K. J. G,



Urywek z dziennika.

[Ciąg dalszy].

Stanąłem za jakimś filarem i wkrótce zastygłem tak, jakby mię widok modlących się tłumów zahypnotyzował. Grano, śpiewano dokoła mnie, tłum klękał i podnosił się. Przedemną na kazalnicy błysnęła biała komża księdza; w ciszy popłynął potok jakichś słów. Nie zdawałem sobie sprawy co ze mną się dzieje, czułem tylko, że znajduję się wśród tych, którzy Boga szukają i było mi swojsko.

---

dania go pod absolutną władzę państwa i jego przedstawiciela«.

— Tak, nie łudźmy się wcale, dzięki to jemu właśnie kościół nasz prawosławny martwy jest oddawna i wszystko, co żyje w nas duchem, a nie literą wyrzeka się go i śpieszy się zaciągnąć pod rozmaite sztandary, nie oglądając się na żadne rozkazy i ukazy!

Sympatyczny szmer przelatuje długie szeregi ławek, w powietrzu drgają szczególne jakieś wiewy, profesor przejęty do głębi, tem co mówi, potrąca i wśród słuchaczek wtórujące mu struny; a struny to bardzo rozmaite.

Ot ta naprzykład drobna, smagła dziewczyna z ascetyczną duszą, nizko chyląca główkę swą w tej chwili, boleje do głębi nad tem, co słyszy i marzy z pewnością o przyszłem odrodzeniu się swej religji.

Tam znowu oceniają słowa profesora z punktu widzenia czysto historycznego, a tutaj poruszone są szczerością i odwagą, z jakiemi się wyraża o rządzie i jego kościele; słowem podniecenie ogólne zapanowało na sali, które się wzmogło jeszcze na odgłos dzwonka, kładącego tamę podniecającemu wykładowi.

Rozsypawszy się małemi grupami po kwadratowej sali rekreacyjnej, słuchaczki dzieliły się już swobodnie świeżemi wrażeniami, komentując pojedyńcze ustępy prelekcji.

Stałam właśnie w małem kółku koleżanek, trzymających się zwykle razem, gdy nagle ujrzałam przed sobą ową osobę z ceglastemi plamami, które teraz znacznie się powiększyły na górnej części jej twarzy.

— Nieprawdaż, rzadko się zdarza usłyszeć w naszych czasach, tak wspaniały wykład, a zwłaszcza tak śmiały i nie liczący się z niczem! Ale bo też my, Rosjanie, umiemy znakomicie krytykować siebie i czynimy to zawsze z jakąś specyficzną, bolesną rozkoszą. Co do mnie, nie straciłam wcale tego rodzaju wrażliwości, chociaż dawno już żyję na tym smutnym świecie i pamiętam nie mało prądów rozmaitych, ogarniających naszą inteligencję.

Mówiąc to, patrzyła kolejno na nas wszystkie, przenosząc bystro wzrok z jednej na drugą, a nie słysząc tymczasem żadnej odpowiedzi, zwróciła się wreszcie do S—cz, najbliższej mojej sąsiadki.

— Jeżeli się nie mylę, spotykałam panią u państwa E—ów?

— Tak, przypominam sobie, ale teraz już oddawna nie widziałam tam pani.

— O, są to bardzo zacni ludzie, ale zdaje mi się, że skamienieli na tem stanowisku, na

Po jakimś czasie jednak świat zewnętrzny zaczął znów pukać do mych pojęć. Pierwsze, co mię rozbudziło, to były słowa kaznodzieji. Pomimo napuszonych frazesów i przesadnej deklamacji treść nauki była tak czysta i tak wzniosła! Miłość i przebaczenie, cóż więcej znaleść można nad te dwa prostoty pełne słowa, któreby oczyściły lepiej, podniosły wyżej biedne człowiecze serca? Ja w tej chwili bardziej niż kiedy i może więcej niż ktokolwiek potrzebowałem wspomnieniem tych pojęć rozbudzić dawne uczucia. Słuchałem więc i choć nic nowego posłyszeć nie spodziewałem się, słuchałem z przejęciem się, jak dzieci słuchają starej, pięknej baśni, na pamięć niemal znanej.

Po kilku chwilach uwaga moja przeniosła się na obecnych. Oto przedemną w ławkach jakaś staruszka, z miłą, jasną twarzą, taka zamodlona, że nawet nauka nie przerwała jej rozmowy z Bogiem; opodal starzec poważny, całkiem zatopiony w sobie. Splecione ręce oparł na pozłacanej gałce swej laski i zadumał się tak głęboko, tak poważnie, jakby z własnym sumieniem czynił obrachunek, skrucha widnieje z nawpół spuszczonych oczu, widać ją na szlachetnem sklepieniu obnażonego czoła.

Przesuwam dalej oczy i spotykam dwoje źrenic cudnych, jak anioły rozmodlone lecących ku niebu. Dziewczę młode o linjach profilu przedziwnie czystych, drobnemi usty szepce modlitwę. Twarzyczka, rozjaśniona jakiemś wniebowzięciem, czemś tak nieskończenie duchowem, że stają mi w pamięci modlące się serafiny Karola Dolce. Widok tych ludzi sprawia we mnie dziwnie rzewne wzruszenie i pragnę najgoręcej zajrzeć w głąb ich myśli. Czuję, że ta chwila pogodzi mię ze światem, że dopomoże wskrzesić w mem sercu te piękne czucia, jakich wyrazy rozbrzmiewają jeszcze nad mą głową. Staję się cały słuchem i jakoż po chwili dolata mię szept wyraźny, chociaż cichy.

S t a r u s z k a. »Gdyby tylko, broń Boże, Rozalja nie wystudziła pieca! Na nic pójdą bułeczki. Muszę jeszcze dokupić włóczki do pończoszek Jaśka, gdyby to tak jeszcze i dla Feluni! Zawsze mi czegoś braknie, och, Jezu najsłodszy! ...ale nas zbaw odezłego. Amen«.

S t a r z e c. »Nie byłoby nic podobnego, gdybym wyszedł z kierów. Ale naturalnie *pańdzieju*, on z treflów, to i ja z treflów, on króla, a ja damę! Niech mię djabli, jeśli kiedykolwiek dam się podobnie wyprowadzić w pole«

Co? co? Ależ nie oszalałem, ależ nie śnię chyba...

Cyt! to dziewczę jeszcze... O, święte dziewczę, gotów jestem modlić się do ciebie, zmiłuj się nademną!

D z i e w c z ę. Wzniesienie oczu jest mi najbardziej do twarzy. Wszyscy dokoła mężczyźni na mnie patrzą tylko. Ach, gdyby to tak uchodziło na balu! A i ten także! Ten najbardziej. Poczekaj mój panie, niechno jeszcze spuszczę oczy«...

---

które weszła była intelligencja nasza kilkanaście lat temu. I mnie się wówczas zdawało, że nigdy już zeń nie zejdę, i ja też latałam patrzeć, jak profesor Sieczenow kraje żaby i święcie wierzyłam, że chemja i fizjologja rozwiążą nam wszelkie zagadki i że już wkrótce *viendra le jour, où l'humanité ne croira plus, elle — saura*. Ale długo to trwać nie mogło; przekonałam się wreszcie, że na pytania moje nauki te nie dadzą wcale odpowiedzi, że każą tylko czekać faktów, nowych faktów, a dusza czekać faktu nie chce i nie może...

Mówiła to z półuśmiechem, rzucając na nas zmięszane jakieś, pytające spojrzenia. Plamy na jej twarzy stały się jeszcze jaskrawsze, lecz sama twarz ta była tak nieruchliwa, że nawet wzniesiona w tej chwili fala uczuć nie odbiła się na niej żadnym nowym wyrazem; dlatego też może słuchałam obojętnie niespodzianej spowiedzi.

— Pani, zdaje mi się, jest z Warszawy? — zagadnęła mię nagle.

— Nie z Warszawy wprawdzie, ale Polką jestem.

— Wie pani, w najdroższych moich wpomnieniach, wspomnieniach wczesnej młodości, plączą się ciągle echa od zachodu, smutne echa od Warszawy i Wilna... O, bo wtenczas żyliśmy wszyscy inaczej, niż dzisiaj żyjemy, rozumieliśmy wiele rzeczy takich, które teraz odzwyczailiśmy się rozumieć.

— Wogóle mówiąc, tak jest w istocie, znam jednak i teraz ziomków pani, którzy nie zapomnieli o niczem, którzy czują i myślą o nas z równą sprawiedliwością, jak myśleli zapewne w młodości.

— No tak, zapewne ma pani na myśli niedobitków z redakcji *Otieczestwiennych Zapisek* i im pokrewnych kółek; znam i ja ich dobrze, wszak to są towarzysze pracy nieboszczyka mego narzeczonego. Niestety, są to tylko wyjątki nawet wśród ludzi starszego pokolenia; co zaś do naszej młodzieży, to część jej przeważna myśli wyłącznie o karjerze, część zaś, niby lepsza, ignoruje rozmyślnie kwestje narodowościowe, a nawet polityczne, w ścisłem słowa tego znaczeniu. My wierzyliśmy w fizjologję — oni czekają zbawienia od ekonomji politycznej. Wszystko, co niema związku z dobrobytem materjalnym społeczeństwa, wydaje im się marnem, przestarzałem głupstwem, nad którem co najwyżej, chwilami litować się można. (D. c. n.).



Słodkie powieki opuszczają się, cień rzęs aksamitnych kładnie się na policzku. Czemuż teraz nie widzisz mego spójrzenia? — ty, okpiwaczko!

Chce mi się krzyczeć, pięściami walić o ten twardy, zimny filar, deptać nogami po czemś, po kimś... Odurzony, wpółprzytomny przeciskam się przez tłum, potrącany, trącając, nadeptując. U drzwi wstrzymuje mię na chwilę ściana tłumu. Cóż to? gdzieś z boku jakieś bolesne wstrzymywane łkanie?... Czego ona tak płacze, ta szara, w połatanej odzieży kobieta? Czego tak kurczowo zaciska zgrzebłe palce? A po zoranej twarzy łzy płyną, płyną...

Nie wiem, nie chcę wiedzieć, któż mi zaręczy, że i te łzy nie płyną z jakiej mętnej krynicy... Nie chcę nic słyszeć, nic badać. Uciec chcę — to jedno, uciec chcę!...

Wydostałem się na świeże powietrze, na jasne, rzetelne, majowe słońce. Ależ ono mię razi, to słońce! Jego blask pogodny i czysty pokrywa niepokalanym płaszczem wszystkie fałsze ziemi. Niechby wicher wył, niechby deszcz smagał. Gdzieś zdaleka zegar miastowy wybija godzinę siódmą! Jakże powoli ciągnął się ten dzień, ten piekielny dzień, jedyny w mem życiu, w którym nie byłem głuchy. Dom mój własny, przyjaciele i obcy — wszystko tak mię zmęczyło, tak zdeptało... Gdzie ja się podzieję?

Wybierając coraz cichsze i ustronniejsze ulice, znalazłem się wkrótce przed bramę zamiastowego parku. To dobrze! Chociaż to czas przechadzek, potrafię przecie znaleźć jakąś zarosłą, opuszczoną dróżkę. Znam taką jedną nad urwiskiem, skąd glinę kopią. Parę brzózek, parę sosen, woniejących żywicą, pod nogami piasek, suchym mchem porosły. Ubogo, skąpo, ale cisza. O, błogosławiona ciszo! Gdyby to jeszcze móc niepamiętać..

Chodzę, chodzę tam i napowrót, do ostatniego zmęczenia, do odurzenia, do osłupienia... Słońce zaszło, mrok coraz gęstszy spuszcza się z pociemniałych niebiosów. Nogi plątać mi się zaczynają; niema tu ławek, siadam wprost na mchu, wspierając się o pień jakiejś drzewiny. Przesiedziałbym tak noc całą, ba, całe życie. Nic mi nie trzeba i nikogo — nikogo...

A ona? Na niebie przedemną mruga pierwsza gwiazdka. To wrażenie szafiru i gwiazd przypomina mi pewne wejrzenie. A jej serce?

Chciałbym teraz, w tym posępnym mroku wyciągnąć do ciebie ręce, jak je wyciągałem niegdyś w dzieciństwie do matki, chciałbym tą rozpaloną, biedną moją głową przypaść ci do kolan i płakać... Gdybyś ty ręce położyła mi na włosy, gdybyś mię ukryła w ramionach, w czystym, macierzyńskim, litościwym uścisku! Lecz twoje serce?

Kiedyś, kiedym wierzył, w tem małem sercu, założyłem sobie świat własny. Miałem tam swoją świątynię, swój dom, swoją miłość. Bo to nic, że często pustuje, jak małe dziecko i natrząsa się ze mnie, jak sama chce — miałem dotąd pewien klucz złoty, co mi otwierał pewien skarbiec. Pamiętam piękne, zimowe wieczory, gdyśmy przy cieple kominka razem czytywali. Pamiętam, jak na każdą myśl wznioślejszą fijołkowe oczy otwierały się szeroko i jak w nich rozpalał się, głęboko gdzieś, ogień wielki, poważny. Pamiętam, jak potem rozgrzewały się jej policzki i jak mię rozpytywała o takie rzeczy, o jakie troszczą się tylko wielkie serca i duchy niepoziome. Pamiętam jak potulnie dawała się brać za rękę i wieść na wyżyny. A tam, na tych wyżynach, już ona mię porywała na skrzydła. A teraz? któż mi powie, co znajdę w tem sercu? Czy i stamtąd nie dojdzie mię ów szept gadzinowy? Czy czasem nie ja sam, zakamieniały romantyk, ubieram ją w jakieś fantastyczne suknie? Nic nie wiem. To strasznie, jak ja nic nie wiem...

Powstałem z ziemi i usilnie przypominać zacząłem, gdzie mógłbym ją spotkać. A! czwartek. Zatem przyjęcie u Wronieckich. Toż zażarta przyjaźń z małą Wroniecką. W pół do dziesiątej — nie będę zapóżno.

Wpadłem do domu na małą chwilkę, aby zmienić tylko ubranie i o dziesiątej dzwoniłem już u drzwi Wronieckich. Gdybym mógł jeszcze rozumować, jakbym śmiesznie wydał się sam sobie! Niedalej, jak przed godziną, wyrzekałem się całego świata i brzydziłem się najszczerzej wszystkimi bliźnimi moimi, a teraz oto, wyświeżony, wymodniony, stoję przed drzwiami, któremi mam wejść do jednego z najliczniejszych zgromadzeń naszego kółka. Ale żadne rozumowanie, żaden egotyzm przez głowę mi nie przeszedł. Musiałem ją widzieć, gdziekolwiekby była, musiałem ją widzieć zaraz i nieodbicie.

Salon był rzęsiście oświetlony; osób było mnóstwo. Wymijając grupy siedzących i przechadzających się, torowałem sobie drogę do gospodyni, a z niepokojem oczyma szukałem Toni. Nie było jej tu Może gdzie w przyległych pokojach? Zamieniając z panią domu powitalne frazesy, wzrok niespokojny zapuszczałem poza otwarte portjery. Ale i tam jej nie dostrzegłem. A jeśli wcale nie przyjdzie? Co zrobię wtedy? Czy pójdę do niej mimo tak spóźnionej godziny, że drzwi mogę zastać zamknięte? Niepewność moją przecięła mała Wroniecka, która spostrzegłszy mnie, podbiegła i trzepocąc się, jak zwykle, spytała:

— Czy pan nie wie, dlaczego Tonia dotąd nie przychodzi:

A więc niema jej! Gdzie ja ją znajdę teraz? Gdzie ja ją znajdę?

— Niechże pan nie robi tak desperackiej miny — szczebiotała panna Wroniecka — Tonia mnie przyrzekła, Tonia przyjść musi!

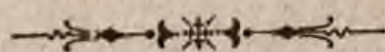
Skłoniłem się, prawdopodobnie coś odpowiedziałem. Postanowiłem czekać. Nic innego

zresztą nie pozostawało, natychmiastowa ucieczka z towarzystwa była niemożebną. Postarałem się o miejsce — samotne krzesełko w głębi framugi między grupą roślin i konsolką. Naprzeciw mam drzwi wchodowe. Lecz między temi drzwiami, w które wbijam oczy, a mojem schronieniem, cały kalejdoskop strojów, szeptów, przyciszonych śmiechów, woni. Zdaje mi się, że to fale jakichś obcych wód przepływają przedemną. I tak mi przyjemnie, że wszystko to zupełnie jest mi obcem, że wewnętrzny świat tych istot, w obecnej chwili przynajmniej, nic a nic nie jest mi znanym.

D. c. n. *W. Dalecka.*



Z niw słowiańskich.



Antologja słowiańska po niemiecku. Wpływ poetów polskich na pierwociny poezji nowoczeskiej.

(Dokończenie).

W dziale poetów południowo-słowiańskich nie spotykamy utworów Piotra Niegusza, który przecież jest najwybitniejszym poctą serbskim przed Bodiczewićem.

Króciutki wstęp p. Kreka daje ogólny pogląd na poezję słowiańską. Jest on tak treściwy. że np. Z. Krasińskiego zbywa jednowierszową wzmianką.

Wzajemny stosunek literatur sąsiadujących ze sobą narodowości pobratymczych — polskiej i czeskiej — dotąd nie jest należycie zbadany. Jeśli wiemy coś o wpływie cywilizacji czeskiej na stosunki kulturalne Polski w pierwszych wiekach jej rozwoju dziejowego lub w dobie husytyzmu, to wpływ kultury polskiej na umysłowość czeską jest nam zupełnie nieznany.

A jednak wpływ ten istniał i to w bardzo wysokim stopniu. Mamy tu na myśli oczywiście wpływ literacki. Wybitni działacze i pisarze czescy bieżącego stulecia wchodzili w stosunki z przedstawicielami literatury i nauki polskiej. Książka polska bywała nierzadkim gościem w domach literatów czeskich. Niektórzy z tych ostatnich do takiego stopnia przejmowali się wpływem literatury polskiej, że nawet próbowali pisać (i to wierszem) po polsku, jak np. Koubek lub Sztulc. Niektórzy znajomili się z utworami literatur zachodnio-europejskich w przekładzie polskim, jak Karol Macha. Dużo poetów czeskich, od Halka poczynając, a na Vrchlickim kończąc, czerpało natchnienie ze źródeł poezji polskiej. Wogóle stosunek literatury polskiej do czeskiej przedstawia wdzięczne pole do studjów porównawczych, i badacz, któryby się tych studjów podjął, uzbroiwszy się w dokładną znajomość obu literatur, mógłby liczyć na plon nader obfity.

Niestety, dotąd bardzo mało w tym kierunku pracowano, a i te szczupłe dane, któreby choć w części wpływ literatury polskiej na czeską objaśnić mogły, zebrali Czesi. Nader ciekawym przyczynkiem tego rodzaju obdarzył nas świeżo dr. Jarosław Vlczek, najwybitniejszy współczesny historyk literatury czeskiej, zamieściwszy w »Czasie«, organie realistów, artykuł p. t. »Antoni Jarosław Puchmajer, założyciel pierwszej nowoczeskiej szkoły poetyckiej«. Puchmajer był przywódcą młodej drużyny poetów czeskich, która wystąpiła na widownię literacką w r. 1795., wydając »Zbiór poezji i śpiewów«. Puchmajer odegrał wybitną rolę w dziejach poezji czeskiej, jako reformator na polu prozodji, wprowadzając nieużywany przed nim wiersz toniczny. Nie był to talent o jakichś wybitnych rysach charakterystycznych, był zawsze naśladowcą wzorów obcych: niemieckich, francuskich i polskich. Nie będziemy tu rozwodzili się nad utworami Puchmajera, które dziś i dla samych Czechów mają znaczenie li historyczne, powiemy tylko parę słów o tem, jakie wpływy polskie nań oddziaływały.

P. Vlczek zadał sobie dużo pracy, ażeby odnaleźć te oryginały polskie, które Puchmajerowi za wzór służyły. Przedewszystkiem znać na Puchmajerze wpływ Fr. Karpińskiego i F. X. Kniaźnina, następnie zaś Krasickiego, Naruszewicza i Trembeckiego. Rzecz zajmująca, że Puchmajer, przekładając utwory innych literatur, zawsze starał się korzystać z przekładów polskich. Uważał to za bardzo pożyteczne dla wyrabiającego się dopiero czeskiego języka poetyckiego, który w ten sposób mógł zaczerpnąć z polszczyzny dużo form gotowych. Obok tego nie obcą mu była myśl wzajemnego zbliżenia się i nawet zjednoczenia się literackiego Polaków i Czechów.

Oprócz licznych utworów, naśladujących wzory polskie, pisma Puchmajera zawierają »Świątynię Wenery w Knidos« Monteskjusza, przełożoną z tłumaczenia polskiego Józefa Szymanowskiego (1778), bajki Lafontaine'a, przełożone z Krasickiego i Kniaźnina, tudzież Ezopa, według tłumaczeń polskich Jabłonowskiego i Jakubowskiego.

Leon Wasilewski.



Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.